



### The Smashing Pumpkins Oceania

Martha's Music 2012

Muzyka: ●●●●●  
Realizacja: ●●●●○

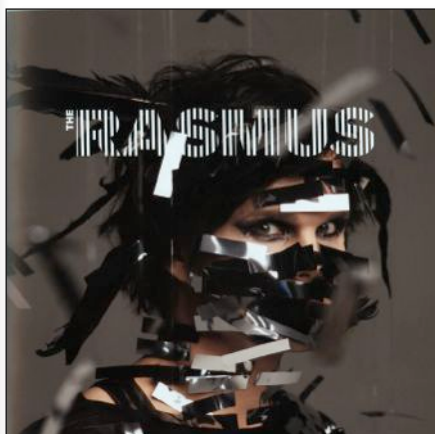
Każdy, kto pamięta opus magnum The Smashing Pumpkins „Mellon Collie and the Infinite Sadness”, wie, że zespół nie ma sobie równych w tworzeniu płyt, na których każda piosenka brzmi jak z innej bajki.

Najnowsze dzieło „Dyń” też nie jest stylistycznie jednorodne. Rozpoczyna je rockowe uderzenie elektrycznych gitar i bębnow w utworach „Quasar” oraz „Panopticon”. Dalej „Oceania” okazuje się jednak żegluga po zupełnie innych wodach. Chociaż wciąż pojawiają się na niej różne stylistyki (bywa akustycznie, elektronicznie, progresywnie, postrockowo), to od trzeciego utworu zaczyna być jasne, że tym razem większość nowych kompozycji Billy’ego Corgana ma wspólny mianownik. Są melodyjne i raczej spokojne.

Na „Oceanii” dominują wpadające w ucho melodie, ballady i delikatniejsze tony. Pod względem muzycznym dzieje się tu dużo, ale utrzymanie podobnego nastroju i charakteru powoduje, że jest to krążek zwarty i łatwiejszy w odbiorze, niż poprzednie w dorobku grupy. A przy tym taki, którego chce się słuchać.

Ponoc na następny album The Smashing Pumpkins nie trzeba będzie długo czekać. Corgan zapewnił, że prace trwają i że będzie on „okrutny”. Możliwe więc, że „Dyń” wróci do mocniejszych brzmień. Na razie warto się zainteresować ich łagodniejszym wcieleniem! ■

Bartosz Szurik



### The Rasmus The Rasmus

EMI 2012

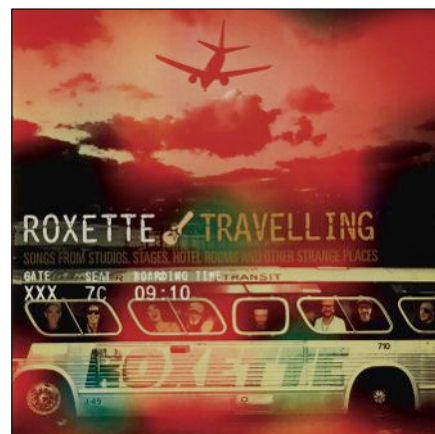
Muzyka: ●●●○○  
Realizacja: ●●●○○

Po czterech latach przerwy fińska grupa, znana u nas głównie z przeboju „In the Shadows”, wydała ósmy studyjny album. Jako że The Rasmus konsekwentnie łagodzi swoje brzmienie (trudno uwierzyć, że panowie zaczynali od dość surowego funk rocka!), jego ostatnia płyta zasługuje na etykietę „soft rocka”... z akcentem na pierwszy z wyrazów. Nie chodzi nawet o ilość ballad, ale o ściszenie wszystkich potencjalnie „niemiłych” przypadkowe- mu uchu dźwięków.

Większość kompozycji z płyty nazwanej po prostu „The Rasmus” bardziej niż na rockowych riffach opiera się na delikatnych elektronicznych podkładach. Jeśli pojawiają się gitary, to grają raczej przepuszczone przez pogłos ozdobniki kojarzące się z niektórymi patentami The Edge’a z U2. Syntetyczne ścieżki sekcji rytmicznej, jak w promującym płytę singlu „I’m a Mess”, przypominają zaś „Radio Ga Ga” Queen. The Rasmus podążają więc śladem wybitnych pop-rockowych kapel. Niestety, słusznych inspiracji nie wzmacniają szczególnie oryginalnością.

Jeśli w najnowszym wcieleniu formacji coś naprawdę zaskakuje, to tylko to, że zespół Lauriego Ylöнена wciąż stara się utrzymać swój „mroczny wizerunek”. Farbowane włosy i cienie pod oczami nie zmieniają jednak faktu, że panowie postawili na wtórne, przyjazne radiu piosenki. Nie są złe, ale – niestety – raczej nijakie. ■

Bartosz Szurik



### Roxette Travelling

EMI 2012

Muzyka: ●●○○○  
Realizacja: ●●●○○

Reaktywowane Roxette nie zasypia gruszek w popiele. Zeszłoroczny album „Charm School” okazał się dla duetu przepustką na listy przebojów.

Idąc za ciosem, grupa wydała krążek pt. „Travelling” o zmiennym podtytule: „piosenki z różnych studiów nagraniowych, scen, pokoi hotelowych i innych dziwnych miejsc”. Jeśli jego nazwa budzi skojarzenia z płytą „Tourism” z 1992 roku, to dlatego, że oba wydawnictwa powstały według tego samego przepisu. Są mieszanką nowych kompozycji oraz starych, zarejestrowanych we wcześniej niepublikowanych wersjach.

W tym miszmaszu brakuje jednak przeboju tej klasy, co otwierający „Tourism” dwadzieścia lat temu „How Do You Do!”. Piosenki takie jak „Touched by the Hand of God” czy „Me & You & Terry & Julie”, choć zawierają wszystkie cechy stylu Roxette, nie są w stanie udźwignąć całej płyty. Trudno więc myśleć o „Travelling” inaczej niż jak o zestawie ciekawostek. Za taką może uchodzić zamieszczenie dwóch wersji singlowego „It’s Possible” – jednej zaaranżowanej na syntezatory i elektryczną gitarę oraz drugiej, zagranej na instrumentach akustycznych.

W zbiorze 15 kompozycji jak na lekarstwo jest takich, które mogłyby zainteresować słuchaczy innych niż wierni fani Marie Fredriksson i Pera Gessle. To do nich jest adresowana płyta i chyba tylko im można ją ze spokojnym sumieniem polecić. ■

Bartosz Szurik



## Van Halen A Different Kind of Truth

Interscope 2012

Muzyka: ●●●●○  
Realizacja: ●●●○○

Jak to się stało, że pierwsza od kilkunastu lat płyta Van Halen brzmi, jakby powstała epokę temu? Odpowiedź jest prosta: w dużej mierze rzeczywiście tak się stało.

Siedem piosenek z „A Different Kind of Truth” David Lee Roth oraz Eddie, przepraszam, Edward Van Halen, napisali jeszcze w latach 70. Pozostałe utwory też nie odbiegają daleko od znanego stylu grupy z jej najwcześniejszego, stricte gitarowego okresu. Może to nie tylko kwestia powrotu do składu Lee Rotha. W końcu, odkąd szeregi formacji zasilili syn gitarzysty, Wolfgang, stężenie Van Halenów w kwartecie wzrosło do 75 %!

Grupie udało się przywołać dawną magię. Szkoda jedynie, że panowie nie zdecydowali się na inny układ piosenek. „A Different Kind of Truth”, zamiast zacząć się od mocniejszego uderzenia, otwiera utrzymana w średniowym tempie „Tattoo”. W tej roli chyba lepiej sprawdziłaby się następna kompozycja – „She’s The Woman”. Ale by krążek rozkręcił się na dobre, trzeba poczekać jeszcze kilka minut, aż do „China Town”. Kipiący energią kawałek rozpoczyna efektowne gitarowe intro, które mogło wyjść tylko spod palców Van Helena. Późniejsze „As Is”, „Bullethead” i „Honeybabysweetiedoll” to rock’n’roll i hard rock okraszony genialnymi partiami jednego z najlepszych gitarzystów w branży. ■

Bartosz Szurik



## Iron Maiden En Vivo!

EMI 2012

Muzyka: ●●●●○  
Realizacja: ●●●○○

Do czasu wydania „En Vivo” Iron Maiden mógł się pochwalić dziewięcioma płytami koncertowymi. Nie jest to może rekord, ale i niemało. Zwłaszcza że muzycy zespołu, w przeciwieństwie do hardrockowych kapel (takich jak Deep Purple), wypuszczających „koncertówki” jedna po drugiej, nie improwizują w czasie występów. Stawiają raczej na efektowny spektakl i energiczne wykonanie znanych kompozycji. Ciśnie się zatem na usta pytanie: czy światu potrzebny był kolejny krążek „Iron Maiden Live”?

Światu zapewne nie, ale 50 tysięcy fanów obecnych w Chile na zarejestrowanym ostatnio koncercie Bestii oraz rzesza sympatyków z reszty globu odnajdzie na „En Vivo” wiele z tego, co lubi najbardziej. Nawet jeśli Bruce Dickinson nie jest w życiowej formie wokalne, to krążek Maiden stanowi dowód, że dobiegający sześćdziesiątki panowie potrafią dać czadu na scenie. Z jednakową energią wykonują materiał z „The Final Frontier” (większość pierwszej połowy dwupłytyowego albumu), jak i zestaw swoich największych hitów. Cóż z tego, że na „En Vivo” nie brakuje piosenek („Hallowed Be Thy Name”, „The Trooper”), które można usłyszeć niemal na wszystkich koncertówkach Brytyjczyków? Wszystkie kompozycje zespół wykonuje z jednakowym zapalem, podsycanym przez głośną i wyraźnie dobrze bawiącą się publiczność. ■

Bartosz Szurik



## Punch Brothers Who's Feeling Young Now?

Nonesuch Records 2012

Dystrybucja: Warner Music

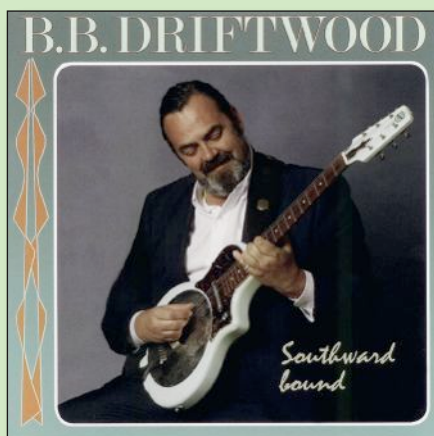
Muzyka: ●●●●●  
Realizacja: ●●●●●

„Jedna z najbardziej niewiarygodnych grup, jakie powstały w tym kraju”. Ten kraj to USA, a przytoczony cytat to wypowiedź T-Bone Burnetta – słynnego wykonawcy i producenta – opublikowana na okładce płyty. I chociaż tym razem produkcją zajmował się nie on, a Jacques King, można się z jego opinią zgodzić. Zespół to instrumentalne mistrzostwo. Muzycy grają na rozmaitych gitarach, na bandzo oraz instrumentach smyczkowych. Robią to fenomenalnie. Ponadto napisali kilkanaście udanych kompozycji.

Na pierwszym miejscu jest utwór tytułowy, ze świetnym gitarowym rytmem i popisowymi wokalami. Zresztą te ostatnie nie tylko w tym nagraniu błyszczą. Równie udane, choć znacznie spokojniejsze harmonie wokalne mamy w „Soon or Never”. A jeśli ktoś miałby ochotę na trochę wirtuozerskiego grania na bandzo, odsyłam do instrumentalnej kompozycji „Flippen (The Flip)”. Tam aż trudno nadążyć za dźwiękami.

Zaraz za „Who’s Feeling Young Now?” postawiłbym „New York City” i „Hundred Dollars”. Dwa strzały w dziesiątkę. Instrumentaliści i wokaliści dokonują cudów. Znakomita płyta. Nie trzeba słuchać opinii Burnetta, tylko jej samej. Postarano się nawet o dobry dźwięk. Bravo! ■

Grzegorz Walenda



**B.B. Driftwood**  
**Southward Bound**

Opus 3, 2012

Dystrybucja: Audio Forte

Muzyka: ●●●●●  
Realizacja: ●●●●●●

Po włożeniu płyty do odtwarzacza i naciśnięciu „play” przypomniałem sobie, jak powinny brzmieć dobrze zrealizowane nagrania. Firma Opus 3 zawsze pod tym względem przodowała i do dziś nic się nie zmieniło.

Dawno nie słuchałem wydawnictw tego producenta, a album „Southward Bound” przypomniał mi, jak to jest poczuć się we własnym domu jak w trakcie sesji nagraniowej w studiu. Zapis SACD potęguje wrażenie. Ponownie się przekonałem, że sam dobry sprzęt nie wystarczy. Żeby poczuć jego klasę, trzeba dysponować dobrze nagrany płytą. „Southward Bound” taka właśnie jest.

Nazwisko autora może mylić. Trudno nawet znaleźć je w sieci. B.B. Driftwood to bowiem pseudonim artystyczny Bengta Skogholta, gitarzysty i wokalisty, wcześniej pracującego głównie jako muzyk sesyjny w składach znanych wykonawców, jak choćby Dave Stewart. „Southward Bound” to jego solowy debiut. Driftwood napisał wszystkie utwory. Reprezentują styl, który najbardziej autorowi pasuje, czyli blues z elementami country i latynoskimi rytmami. Miejscami pojawiają się chórki gospel. Soliście towarzyszą głównie skandynawskie gwiazdy, chociaż na gitarze gra również amerykański bluesman, mieszkający obecnie w Helsinkach, Eric Bibb.

Co do samej muzyki, to gdyby nie skandynawskie nazwisko autora, można by przypuszczać, że płyta powstała w Memphis albo Nashville. A najważniejsze, że przyjemnie się jej słucha. ■

Grzegorz Walenda



**Charlie Winston**  
**Running Still**

Real World Productions 2012

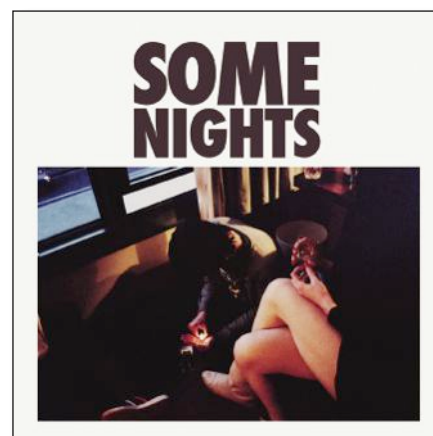
Dystrybucja: Warner Music

Muzyka: ●●●●○  
Realizacja: ●●●●○

Charlie Winston najlepiej się czuje w Paryżu. Tam też mieszka. Miejsce stałego pobytu nie przeszkadza mu jednak nagrywać typowo angielskich płyt. Na początek mamy aż dwa popisowe numery: jeszcze nie wylansowany „Hello Again” i goszczący właśnie na listach „Where Can I Buy Happiness?”. Ten drugi najlepiej oddaje wykonawczy potencjał artysty. Potrafi ułożyć melodie, które wpadają w ucho. Umie też wymyślić zapadające w pamięć teksty, jak ten o kupowaniu szczęścia. Wszyscy ten hit zapewne znają, a jeśli nie, to Winston niebawem go zanuci – w radiu lub ze sklepowych głośników – jak wcześniej szlagier „Like A Hobo” z drugiego longplaya.

Nagrywając „Running Still”, Winston otoczył się zdolnymi muzykami, którzy wzbogacili utwory oryginalnymi partiami instrumentalnymi. Wystarczy posłuchać „Speak To Me”. Ze stylem całości kłóci się niemiecki wstęp do „The Great Conversation”, ale trudno wybrzydząć. Winston ma w rękawie sporo interesujących pomysłów, o czym można się było przekonać na jego koncercie w warszawskiej Stodole. Na bis zagrał wtedy balladę, akompaniując sobie na fortepianie. Omawiany kompakt zawiera trzy takie kameralne kompozycje. Warto też posłuchać, jak Winston głosem naśladuje brzmienie basu i perkusji. ■

Grzegorz Walenda



**Fun**  
**Some Nights**

Fueled By Ramen 2012

Dystrybucja: Warner Music

Muzyka: ●●●●●  
Realizacja: ●●●○○

Coś między Styx i New Radicals. Chociaż znajdziemy i podobieństwa do Queen, zwłaszcza w rozpoczynającym płytę wstępie do nagrania tytułowego, z chórkami przypominającymi „Bohemian Rhapsody”.

Grupę Styx melomani powinni pamiętać, ponieważ weterani amerykańskiego progresywnego rocka nadal występują. Pewnie gorzej jest ze znajomością New Radicals, bo to autorzy jednego, chociaż udanego albumu („Maybe You’ve Been Brainwashed Too”). Ale nawet jeśli ktoś nie słyszał muzyki żadnej z tych grup, po twórczość Fun zdecydowanie powinien sięgnąć.

„Some Nights” to jedna z lepszych tegorocznych premier. Szkoda, że nie wszystkie nagrania są jednakowo udane. „It Gets Better” niepotrzebnie wprowadza monotony, punkowy rytm, ale to wyjątek. Reszta urzeka melodyjnością i pomysłowymi aranżacjami. Przyjemnie się słucha nie tylko wielkiego przeboju „We Are Young”, z gościnnym udziałem Janelle Monae. Muzycy stanęli na wysokości zadania. Nawet piosenki o codziennych czynnościach chwytają za serce.

Mamy gęste faktury z popisowymi harmoniami wokalnymi, a wszystko na bazie wpadających w ucho melodii, skomponowanych przez zespół. Głos wokalisty, Nathaniela Ruessa, swobodnie przechodzi od „krzykliwego” tenoru do falsetu. „Piątkowa” ocena trochę na wyrost, ale po to, żeby zachęcić do posłuchania. Wszak to dopiero druga płyta Fun, a już taka pomysłowa. ■

Grzegorz Walenda



### Très.B 40 Winks Of Courage

EMI 2012

Muzyka: ●●●●○  
Realizacja: ●●○○○

Międzynarodowe trio wokalistki i basistki Misi Furtak za swój pierwszy długogrający krążek zgarnęło w Polsce wiele pozytywnych recenzji oraz statuetkę Fryderyka w kategorii „debiut roku”. Sporo osób z zainteresowaniem oczekiwało więc następcy „The Other Hand”. Czy jednak przyszło im do głowy, jak bardzo druga płyta Très.B będzie się różnić od poprzedniczki?

Melancholijna okładka „40 Winks of Courage” odzwierciedla tę zmianę. Nowe piosenki Très.B niewiele mają wspólnego z puszczanym na imprezach alternatywnym popem. Aranżacyjnie i brzmieniowo nawiązują do dokonań co mroczniejszych wykonawców z lat 80, a utrzymane w wolnych oraz średnich tempach kompozycje pasują raczej na ścieżkę dźwiękową jesiennego spaceru. Znane z debiutu skoczne bity perkusyjne zostały tu zastąpione powolnie wybijanymi na bębnach frazami, okraszonymi zimnymi i oszczędnymi dźwiękami gitary i basu, rzadziej też instrumentów klawiszowych. Nawet śliczny głos wokalistki nie ociepla płyty. Muzyka przyspiesza zaś tylko w dwóch hałaśliwych momentach krążka – „Head or Tail” oraz „Wheels And Engines”.

Szkoda, że dobre przyjęcie debiutanczkiego krążka nie pozwoliło zespołowi zrealizować drugiej płyty w lepszych warunkach. Można usprawiedliwiać jej jakość pożądaną „surowością brzmienia”, ale prawda jest taka, że muzyka Très.B zasługuje na lepszą produkcję. ■

Bartosz Szurik



### Marcin Wawrzynowicz Camamey

Polskie Radio 2012

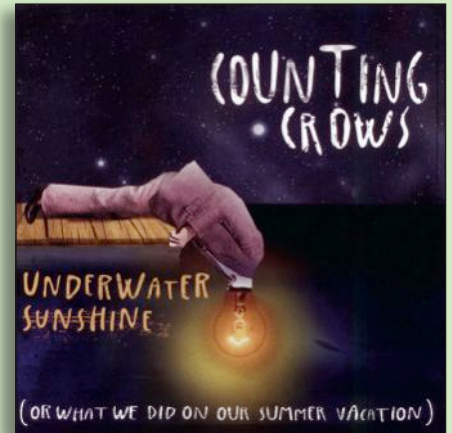
Muzyka: ●●●○○  
Realizacja: ●●●○○

Druga autorska płyta młodego wokalisty Marcina Wawrzynowicza jest utrzymana w konwencji nostalgicznego popu, jazzu i bossy. W nagraniach wzięli udział czołowi artyści polskiego jazzu, m.in. Henryk Miśkiewicz, Piotr Baron, Robert Majewski, Grzegorz Nagórski, zaś autorem aranżacji jest – także jazzman – Tomasz Kałwak. Muzykę do wszystkich piosenek napisał lider, wykorzystując teksty własne, a także Konrada Wojtyły, K.I. Gałczyńskiego oraz Jonasza Kofty. Niestety, artystyczny poziom strofok lidera i Wojtyły pozostawia wiele do życzenia.

Okładka albumu obiecuje sporo (chwytliwy tytuł, znane nazwiska), ale muzyka rodzi niedosyt. Piosenki zostały napisane przy użyciu najprostszych środków. Dziwi nieobecność bardziej współczesnych elementów – rytmów i nowych brzmień. Wszystko to powoduje, że całość wypada oldskulowo. Wawrzynowicz najlepiej sprawdza się w roli wokalisty. Jego nasycony głos brzmi czysto i naturalnie. Dobrze się wpasowuje w klimat płyty. Sporo pozytywnego fermentu wnoszą muzycy jazzowi – bez ich udziału trudno sobie wyobrazić ten projekt. Warto też pochwalić pracę realizatorów nagrań i specja od masteringu.

Mając do pomocy rzeszę znakomitych muzyków i fachowców, Marcin Wawrzynowicz mógł lepiej wykorzystać swoją szansę. ■

Bogdan Chmura



### Counting Crows Underwater Sunshine

Cooking Vinyl 2012

Dystrybucja: Mystic Production

Muzyka: ●●●●○  
Realizacja: ●●●●○

Od słynnego debiutu „August And Everything After” (1993) z hitem „Mr. Jones”, grupa Counting Crows nagrywa przyzwoite albumy w klimacie amerykańskiego południowego rocka (coś między The Eagles a The Band). Autorem utworów i liderem jest Adam Duritz. Tym razem wziął na warsztat piosenki z repertuaru innych wykonawców. Ale uniknął zbyt ogranych tematów. Dlatego, mimo że słuchamy coverów, brzmią świeżo. Nawet bardziej dla nas niż dla Amerykanów. Oni bowiem lepiej znają takich twórców i wykonawców, jak Kasey Anderson, Craig Fuller czy Coby Brown, z których materiału Counting Crows skorzystali. Chyba tak naprawdę jedynie Richard Thompson i grupa The Faces cieszą się u nas jakąś popularnością. Z nagrań tej ostatniej mamy genialną kompozycję Rona Wooda – dziś jednego ze Stonesów – i Ronniego Lane’a, zatytułowaną „Ooh La La”. Utwór doczekał się kilku wersji i często pojawia się w filmach drogi. Melodia świetna, a jeszcze lepszy tekst. Dziadek skarży się wnuczce: „Szkoda, że nie wiedziałem tego, co teraz, kiedy byłem młodszy. Szkoda, że nie wiedziałem tego, co teraz, kiedy byłem silniejszy”. Utwór powstał, gdy kompozytorzy mieli niewiele ponad 25 lat. „Nic dziwnego, że tyle pili” – komentuje w książeczce do płyty lider Counting Crows. Jego charakterystyczny głos i świetna gra gitarzystów to główne atrakcje krążka. ■

Grzegorz Walenda